

22 października tego roku skończyłby sto lat. Cieleśnie rzadko kto dożywa tego symbolicznego wieku. Jednak, jeśli żyjemy nawet po śmierci w pamięci ludzi, którzy nas znali, kochali, potrzebowali – to Georges Brassens będzie żył jeszcze przez długie wieki. Pamiętają go w jego rodzinnym Sete, pamiętają w Paryżu, w całej Francji i niezliczonych miejscach, do których dociera francuska literatura i muzyka.

Pamiętamy go również w Polsce. Dla nas nigdy nie umarł. Żyje w swoich piosenkach, tak jakby na plaży w Sete nie było jego grobu. Nigdy nie był chyba w Polsce, ale jest tak, jakby tu mieszkał i tworzył. Kochaliśmy go od pierwszej wysłuchanej piosenki. W oryginale i w polskich przekładach, których nazbierało się bardzo wiele.

W interpretacjach naszych wykonawców wciąż walczą ze sobą, charakterystyczne dla jego twórczości żywioły ludycznej dosadności i poetyckiego kunsztu; metafor, słów najpiękniejszych, jakże często tworzonych przez niego samego genialnych neologizmów i określeń bardzo... bezpośrednich.

Jednak nigdy nie wulgarnych, lecz nadających blasku poetyckości i wdzięku słowom tylko przez dewotów i strasznych mieszczan uważanym za sprośne.

On wiedział i jego piosenki tego uczą, że nie słowa są wulgarnie. Wulgarnie bywają tylko nasze myśli, gdy nie umiemy dostrzec w tak zwanych „brzydkich słowach” piękna ludzkich zmagania z emocjami i trudami codzienności.

Po prostu był poetą także brzydkich słów, choć nie był turpistą. Trudno zresztą być turpistą w Paryżu czy Sete. Starał się pozostawać w kręgu tradycji legendarnych bardów takich jak Francois Villon.

Jak nikt potrafił znajdować nuty i frazy dla swoich wersów. Tworzyć efekt synergii, którą daje splot melodycznego i literackiego kunsztu.

Potrafił podchodzić z szacunkiem do tekstów starych mistrzów, ale nie był to paraliżujący respekt, jakim obdarzamy Bogów, lecz raczej sympatia dla słabości i czułe pochylenie się nad zwykłym ludzkim wymiarem spraw.

Odzierał z kiczowatego patosu buńczuczne fanfary narodowych ceremonii. Stawał po stronie prawdy, jaką jest skromny wymiar humanistycznych wartości, skrojonych na miarę zwykłego codziennego życia.

Walczył o prawo do bycia sobą, do inności, jakże często przynoszącej ze sobą złą opinię w oczach bliźnich czy obywateli. Jednak nawet krytykując postawy tych, których wszystkie drogi prowadzą do Rzymu - okazywał im sympatię i zrozumienie.

Krytykował z emfazą, ale nigdy nie poniżał. Wyśmiewał, ale robił to z sympatią dla wyśmiewanych.

Starał się uwypuklać w swoich piosenkach najrzadsze ludzkie zalety – takie jak bezinteresowna dobroć i choćby w symbolicznym wymiarze nagradzać tych, którzy umieją ją zachowywać, choć to w ludzkim świecie bardzo trudne i niezbyt częste. Stawał się więc śpiewającym świadkiem dobrych uczynków i postulatorem zbawienia dla tych, co umieli zachować się po prostu przyzwoicie. Zwłaszcza wówczas, gdy większość uważająca się za przyzwoitą, zamyka drzwi swoich domów, przed obcymi potrzebującymi pomocy i bije brawo, gdy policja zatrzymuje złodzieja kilku jabłek.

Człowiek, który daje zziębniętemu drewno na opał; kobieta, która częstuje chlebem głodnego i ktoś, kto ze smutkiem spogląda na zatrzymanego przez policjantów drobnego złodzieja – to typowe postaci Brassensowskiego świata. Jest ich wiele. Kochamy je wszystkie.

Także dobrotliwy rogacz, z pokorą dźwigający małżeństwa krzyż albo twardziel, którego miłość zamienia w małego bezbronno misia, czy młody sędzia, którego dopiero goryl uczy, czym jest sens prawdziwego wymiaru sprawiedliwości.

Brassens stawał w obronie kobiet sprzedających swoje ciała, żeby związać koniec z końcem i inteligentnie sprowadzał na ziemię ich klientów. Zwłaszcza takich, którzy nie umieją okazywać im szacunku, bo zapominają, że sami są w tej relacji równie grzeszni.

Brassens potrafił także komentować wielką politykę. Zawsze jednak sprowadzając nawet największe jej postaci do czysto ludzkiego wymiaru. Mistrzowsko to pokazał w słynnej postaci Króla wszelkiej lichoty i ludzkiej szumowiny, który nigdy nie szejnie, choć wszyscy inni władcy kończą przecież nieuchronnie swe panowanie...

Najczęściej sam sobie akompaniował na gitarze, którą trzymał na nodze opartej na krześle. Dziwna to i nie do końca wygodna poza, jednak przemyślana. Podobnie jak skromne instrumentarium mająca na celu skierowanie uwagi odbiorców na słowa.

Jego interpretacje zawierały niezbędne minimum ekspresji. Nie konkurowały z tekstem, który pozostawał najważniejszy, mimo iż niektóre jego melodie zasługują na to, by stać się słynnymi muzycznymi tematami, wykonywanymi przez najwspanialsze orkiestry i zespoły. Charakterystyczne jest to, że on umiał powstrzymać swoje melodie w ryzach i nie pozwalał im na zdominowanie całości. Tak samo jak utrzymywał w ryzach swój interpretatorski temperament. W tej triadzie: Brassens – muzyka – tekst, zasługi są rozkładane równomiernie. Każdy element jest równie ważny i niezbędny. Rzadko pojawiają się inne instrumenty, ale nawet wówczas - ta magiczna równowaga trwa niezachwianie.

Dopiero gdy słuchamy piosenek Brassensa w innych interpretacjach, spotykamy próby innego rozłożenia ról.

Jego autorskie wykonania są mistrzowsko zrównoważone. Jak najlepsze francuskie wina. Wiele w nich smakowych nut i zapachów; wiele źródeł inspiracji, słynnych winnic i tekstów francuskiej tradycji poetyckiej a w efekcie niepodrabialny kolor, zapach i smak; melodia, interpretacja i tekst.

I smakują tak zwykłym ludziom, jak koneserom. Na tym polega ich siła, która potrafi się opierać demonowi czasu. Bezlitosnemu Saturnowi, który wszystko chce pogrzebać w zapomnieniu - wspólnym grobie ludzkiego losu.

Brassens ocalił przed Saturnem w swoich piosenkach wiele piękna i dobra oraz najrzadszych ludzkich zalet. Dzięki temu ocalił też siebie. I nam pomaga ocaleć. Zwłaszcza w czasach trudnego optymizmu jego dobroć i mądry śmiech stanowią bezcenny wehikuł przetrwania.

Jarosław Gugąła

Dziennikarz, członek Zespołu Reprezentacyjnego, który wykonuje i nagrywa własne przekłady piosenek Brassensa